

Kronika tygodniowa.

Oby się powiesił, kto wymyślił gorąca!... To pobożne życzenie wyrwa mi się z gardła, a nie tylko mnie, ale i innym towarzyszom niedoli, których Opatrzność skazała na smażenie się wraz ze mną wśród dusznej atmosfery Krakowa.

Już drugi tydzień słońce operuje w całej pełni, zazdrościmy też tym, którzy używają wywczaśów gdzieś na łonie przyrody, gdzie nie trzeba pamiętać o kołnierzyku, krawacie, mankietach, ba, obeszloby się nawet i bez innych szczegółów garderoby, bez których ani rusz pokazać się w rozszerzonej stolicy. O ileż szczęśliwsze są od nas niewiasty w swych przewiewnych, z różnych stron porożcinanych sukniach, tak doskonale ułatwiających wentylację!

To mnie tylko pociesza, że gorąco nie tylko nam daje się we znaki, lecz bardziej jeszcze dokucza tym, którzy pojechali na południe, a teraz to w Krakowie modne. Choć oni są o tyle w lepszym położeniu, iż mogą tam cały dzień pławić się w morzu, gdy my, przeciwnie, ani we Wiśle, ani w Rudawie na tę przyjemność pozwolić sobie nie możemy.

Wstyd doprawdy powiedzieć, że tak wielkie miasto, jak Kraków, nie ma dotąd postępowo urządzonej łaźni dla rzecznej kąpieli, przecież nie kosztowałoby to znów tak wiele. Podaję projekt panu fizykowi, tak dbającemu o nasze zdrowie, warto nim się zająć, zwłaszcza teraz, gdy po zaciągnięciu pożyczki będą w kasie miejskiej pieniądze. Tego roku, prawdopodobnie dlatego, iż jest gorąco, nie funkcjonuje nawet pływalnia wojskowa w Parku Krakowskim.

Pozostawiała ona wprawdzie wiele do życzenia, w każdym razie było to coś, a teraz niema nic!

Radcy miejscy nic sobie jednak nie robią z naszej mizery, ich stać na to, by we wakacje kąpać się w morzu. Jeden, dowiedziawszy się, że koło Abbazy pokazał się rekin, zabrał nawet swą teściową, choć pierwotnie postanowiono, że ma pozostać w mieście i strzedz domowego ogniska przed wdarciami niepowołanych gości sezonowych, czyli tak zwanych włamywaczy, od których aż się roi w tym czasie.

Politycy nie mają jednak czasu polować na nich, musi bowiem strzedz krakowskich demokratów, którym narodowi demokraci, mnożący się coraz bardziej na krakowskim bruku, stale włożą na pięty.

Komu uda się zdobyć kilkadziesiąt koron, ten wybiera się bodaj na niedzielę pociągiem, tak zwanym „kominiarskim“, dajmy na to do Zakopanego, by się tam rozerwać, lub zabawić. Wskazaniem jest, jeśli żona bawi w Zakopanem, jechać do Krynicy, jeśli zaś ona tam jest właśnie, skierować swe kroki do Zakopanego. Obrączkę ślubną na wszelki wypadek powinno się zostawić w domu, wiadomo bowiem, że w lecie mamy często burze, a pioruny ze szczególniejszą predylekcyą uderzają w metalowe przedmioty. Zresztą bez obrączki i lżej, co zaś ważniejsze, zazwyczaj kawaler w miejscu klimatycznym lub zdrojowym budzi z zasady więcej zaufania wśród płci pięknej, niż żonaty, więc uważany już za straconego.

Zaznaczyć zaś wypada, że jazda takim, powiedzmy „wycieczkowym“ pociągiem jest ogromnie miła i szczególnie wskazana dla tych, którzy potrzebują potów lub inhalacji zgęszczonego powietrza. Dzięki panującemu w Austrii, szczególnie zaś w Galicji, systemowi oszczędnościowemu, z zasady daje się mniej wozów, niż ich potrzeba, kilka przedziałów rezerwuje się ponadto dla różnych spodziewanych i niespodziewanych dygnitarzy, nic też dziwnego, że owa placąca słono publiczność musi się gnieść i przypomina śledzie w beczce. Widzi się tu ogólne zrównanie wszystkich stanów, wyznaczenie polityczne ani religijne nie robi żadnej różnicy.

W ścisku zdarzyć się jednak może, że pasażerowie zamieniają swoje nogi... Wyobrażam sobie minę zapalonego taternika, który, wysiadłszy w Zakopanem, widzi, że przez pomyłkę zostawił w wagonie swoje wytrenowane nogi, a wziął pedały, będące własnością pewnej starszej już i podagrycznej nauczycielki... W ścisku wszystko jest możliwym...

I te przyjemności jazdy odstraszały mnie od podjęcia podróży do Zakopanego, które aż się prosi, by kronikarz osobiście tam zawitał i przypatrzył się życiu naszych taterników. Na razie dałem sobie jednak spokój, natomiast zaś w ubiegłą niedzielę wyruszyłem w towarzystwie kilku znajomych na Wolę Justowską i Panieńskie Skały.

Lecz i tu nie brakło urozmaicenia, a pierwszym z nich była wojna z fjakrem, który w żaden sposób nie chciał nas odwieźć na miejsce za trzy ko-

rony, jak wyraźnie powiada taksa, zatwierdzona przez najrozmaitsze władze, rządowe i autonomiczne...

Po długich pertraktacjach dyplomatycznych udało się nam wreszcie z sympatycznym automedonem dojść do porozumienia, ruszyliśmy więc w drogę pełni najlepszej otuchy...

Los jednak uwziął się widocznie na nas, bo w środku drogi, wiodącej przez Błonia, konisko, widocznie zwolennik spoczynku niedzielnego, powiedział sobie: stój!

Nie pomogły słowa, nie pomogły bardziej przekonujące argumenty, ruszył dopiero wtedy, gdy mu się stanie sprzykrzyło. Ponieważ zaś w Austrii mamy konstytucję, która obowiązuje zarówno ludzi, jak i konie, za złe tego rumakowi leniwemu brać nie można. Starania woźnicy, by go zmusić do posłuszeństwa, sklasyfikowałbym jako ograniczenie osobistej wolności, sprzeciwiające się państwowym ustawom zasadniczym.

Odtąd już bez większego wypadku, jednak wśród tumanów kurzu, dojechaliśmy szczęśliwie na miejsce, konstatuując z zadowoleniem, iż magistrat krakowski od Zwierzyńca ku Woli robi doskonały gościniec. Życzyłoby sobie jednak należało, by przedłużono go aż na Wolę i połączono z aleją na Błoniach. Wówczas wycieczka na Wolę mogłaby być prawdziwą przyjemnością.

Wehikuł nasz zatrzymał się automatycznie przed zajazdem Masnego, naprzeciw wojskowej strzelnicy. Tutaj wysiedliśmy, by się lekko pokrząć i rozpocząć stąd piesze wycieczki w różne strony. Jedze nie i piwo nie pozostawiają nic do życzenia, tak pod względem jakości, jak i ceny. Znając dobrze Kraków i jego okolice, byłem przygotowany na coś gorszego. W każdym razie konstatuję, iż miejscowość wycieczkowa, tak jak Wola, gdyby była gdzieś koło niemieckiego miasteczka, nawet o połowę od Krakowa mniejszego, przedstawiałaby więcej komfortu i urządzeń dla wygody spacerowiczów. Dość powiedzieć, że wszystkiego jest tu jedna huśtawka, skrzypiąca należycie, zastępująca więc muzykę ogrodową.

Stąd, rzecz prosta, koło mleczarni w Kółku rolniczem, wśród nowych tumanów pyłu podążyliśmy ku bramie pałacowej, pewni, że dostaniemy się do ogrodu, niegdyś własności książąt Czartoryskich, dziś krakowskiego biskupstwa.

Niestety, brama zamknięta, cerber, strzegący jej, oświadcza kategorycznie, że zwiedzanie nie jest dopuszczalne.

Trudno — pomyślałem sobie, idąc w stronę Panieńskich Skał — nie wolno, to nie wolno, pójdziemy gdzieindziej. Nie gniewam się też na zarząd ogrodu, wiem bowiem, jak mieszkańcy stołecznego królewskiego rozszerzonego Krakowa po wandalisku obchodzą się z cudzą własnością, choćby ona była nawet przeznaczoną dla ogólnego użytku. Każdy na pamiątkę wzięłby sobie bodaj jedną gałązkę, lub jeden kwiatek, by go potem, gdy mu się uprzykrzy, rzucić gdzieś na drodze.

O tyle więc uważam zakaz zwiedzania parku za słuszny, tłumaczenie zaś, że to przeszkadza księciu biskupowi, nie wytrzymuje krytyki. Dla zwiedzających i żadnych wypoczynku w cieniu drzew wyznaczyć można pewną część parku, nie stykającą się bezpośrednio z samym pałacem. Nie każdy zaś chce wędrować na Panieńskie Skały, bo to i dość daleko i musi się iść drogą wcale niewygodną.

Tramway na Wolę Justowską, a nawet na same Panieńskie Skały, byłby dla Krakowian w lecie prawdziwym dobrodziejstwem, jestem pewny, że przyczyniłby się do powstania tutaj całego szeregu will, w odpowiedniejszym nawet, powiedziałbym, położeniu, niż na Salwatorze, gdzie „wiatr psiajucha, mocno dmucha“... jak pięknie śpiewa pewien natchniony poeta.

Powrót z Woli do Krakowa wśród wieczornego chłodu, wzdłuż wałów nad modrą (?) Rudawą jest bardzo przyjemny, wygodniejszy natomiast bodaj fjakrem wprost „pod Obraz“, gdzie pan Władysław z staropolską gościnnością uraczy cię bombką „z gęstą równą“, byś mógł przepłukać zakurzone gardło.

Daj mu Panie Boże zdrowie, oby mu służba wojskowa była za to lekką!

Słomiani wdowcy, muszą stwierdzić z całą rewerencyą, prowadzą się w sposób nadzwyczaj chwalebny, nie przesadzę nawet, że wzorowy. Co najwyżej spotkasz ich wieczorem przy bombce, potem ciągną na herbatkę, jedni do Sukiennic „pod filarki“, inni do Bisanza lub Esplanady, potem sznureczkiem do domu.

I tak dzień po dniu, noc po nocy.

Rzecz prosta, że raz lub dwa w miesiącu (ale to najwyżej!) może nastąpić lekkie wykoślenie, musi być jednak do tego okazy, gdy n. p. słomiany

wdowiec zakisi ogórki i chce się potem popisać wobec znajomych swemi gospodarskimi zdolnościami, lub inny znów otrzyma w prezencie słoik konfitur poziomkowych, a boi się, by nie scukrzały zbyt, nim rodzina powróci z letnich wywczaśów.

Wówczas sprasza się towarzyszków niedoli na wspólną biesiadę, ot, tak bez ceremonii „po kawalersku“, nic też potem dziwnego, że niejeden zapomni o swych małżeńskich kajdanach i zdaje mu się, iż jest kawalerem... To mu się jednak wybacza, zwłaszcza, że do ekscesów żadnych nie przychodzi, żony niech więc spią na wsi spokojnie, o ile *nota bene* nie przeszkadzają im muchy, pchły, pluskwy i inne miłe sześcionogi, w jakie nasze letniska tak obfitują.

Politykę zajmujemy się ciągle pomimo upału i możemy zapewnić wszystkich bawiących na willegiaturze, że wojny dotąd niema i prawdopodobnie tak prędko nie będzie, bo i minister wojny Krobatin i szef sztabu jeneralnego, Conrad v. Hötzendorf, wyjechali na urlop. Jeden łowi pstragi, drugi łapie motyle, namiestnik Korytowski zaś, jak zresztą co roku, nurkuje we wannie w Maryenbadzie i tutaj odbywa dalekie spacer. W ślad za nim pospieszają panowie Leo i German, Maryenbad więc w życiu politycznym Austrii i Galicji odegrać może bardzo wybitną rolę.

Ja, choć jestem także politykiem z urodzenia, na razie nie wyjeżdżam nigdzie, zycządy urządzam zaś sobie w domu, a podczas tego czytam wiadomości polityczne, co mi przychodzi teraz o tyle łatwiej, iż mamy w Krakowie o jedno pismo codzienne mniej, zgasł bowiem po długich a dolegliwych cierpieniach finansowych „Nowy dziennik ilustrowany“.

Czy na jego miejsce jakiś grzybek nowy nie wyrośnie, o tem na razie cicho, na grzyby tego roku zresztą panuje ogromny nieurodzaj.

Pozatem kanikularną monotonią przerywały tylko występy publiczne narodowych demokratów, mające na celu napiętnowanie bielskich machinacji hakaty-stycznych. Byłoby to wszystko wypadło daleko poważniej, gdyby nie nieproszony udział niedorostków, którzy potem użyli sobie na Rynku i ulicach, popisy ich wokalne, gimnastyczne i w uciekaniu dały sposobność naszej c. k. władzy bezpieczeństwa do wyładowania swej energii, co znów spotkało się z należytą odprawą na szpaltach pism codziennych.

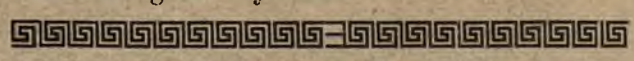
Ja tam zaś nikogo nie winię, pod wpływem gorąca robi się nieraz głupstwa, młodym politykom powinno się w każdym razie pozwolić należycie wykrzyczeć i wygadać, potem będą spokojniejsi.

Że zaś człowiek z wiekiem się zmienia, na to mamy aż nazbyt dowodów. Znam człowieka, który jako akademik był skrajnym radykałem, dziś zaś stał się tak lojalnym, iż nuta „Czerwonego Sztandaru“ działa nań, jak czerwona chusta na hiszpańskiego byka.

Albo drugi przykład.

Jako młodzieniaszek, zgłębiający tajniki łaciny, greczyzny i t. d. w jednym z krakowskich gimnazjów miał największą frajdę, ilekroć udało mu się pokazać język żołnierzowi policyjnemu, a potem uciec... Myślałby kto, że z owego młodziana wyrosł największy wróg władzy bezpieczeństwa, tymczasem losy tak zrzędziły, że z czasem sam wstąpił w jej szeregi i stał się jej ozdobą...

Zbytek energii zastosowany ongiś wobec tych dwu panów byłby się stał powodem, że dziś, kto wie, czy nie byłiby najzagorzalszymi zwolennikami teorii Ignacowych, tymczasem zaś są to bardzo lojalni i naśladowania godni obywatele.



C. k. Dyrekcya kolei państwowych w Krakowie
donosi: Z dniem 1 sierpnia 1914 r. otwiera się na szlaku Kraków-Rzeszów, pomiędzy stacjami Bierzanowem a Podgajem przy km. 13 765 nowy przystanek osobowy: **Węgrzce wielkie** dla ruchu osobowego i pakunowego.

Bilety jazdy wydawać się będzie na przystanku, należytość za pakunki będzie się opłacało w stacji oddawczej.

Czas odjazdu pociągów zatrzymujących się na tym przystanku są podane w ściennym rozkładzie jazdy, ważnym od 1 maja 1914 r.

RIZ ABADIE

Tutki z wata FERROL

— poleca —
Tutki :: św. Jerzego

Société Abadie w Paryżu.